

Ciężkie, dębowe drzwi z ozdobnymi stalowymi okuciami, metalową kołatką w kształcie głowy lwa i wymyślnie powyginaną żeliwną klamką zatrzasnęły się za mną z hukiem. Kołatka odskoczyła i opadając z powrotem na miejsce, wydała z siebie metaliczny szcęk.

Stałam na kamiennym przedprożu i wystawiłam twarz ku słońcu, ciepłemu kwietniowemu słońcu. Jego promienie delikatnie pieściły moją twarz.

Przepelniała mnie radość, tak niepomernie głęboka, że chciało mi się krzyżeć. Chyba nigdy, po prostu nigdy, nie czułam się tak bardzo szczęśliwa.

Będę matką! Będę matką, śpiewało mi w duszy. Z trudem powstrzymałam swoje usta, by na głos nie obwieściły tych słów całemu światu, nie wykrzyczały okrągłych, rozkosznych literek, jak podniosłego psalmu. Będę matką! Będę matką! Aż dziwne, że pieśni mojego ciała nie słyszeli nieliczni jeszcze o tej porze przechodnie. Mijali mnie obojętnie, z głowami pochylonym ku ziemi, przygarbieni, śpiesząc się do swoich nic nieznaczących spraw.

Głupcy! – chciałam krzyknąć – czyż nie widzicie, że przyszła wiosna, że świat jest piękny, że obok was stoi człowiek naprawdę szczęśliwy? Stańcie na chwilę! Spójrzcie w niebo. Życie przecieka wam pomiędzy palcami, a wy tego nie zauważacie.

Nie odezwałam się jednak słowem. Zeszłam statecznie po kamiennych schodkach – nie mogłam po nich jak zwykle zbiegnąć,

przecież nie byłam już głupią podfruwajką; wewnątrz mnie rosło nowe życie i nadszedł czas, żeby zacząć zachowywać się odpowiedzialnie, aby nie zrobić krzywdy ani sobie, ani swojemu maleństwu. Powierzchnia schodów była wygładzona tysiącami stóp, które stąpały po nich od dziesiątek lat. Ile z nich niosło równie szczęśliwych właścicieli? Stopnie w słońcu lśniły matowym blaskiem. Czy blask może być matowy? Zaciekawiał mnie ten problem, na moment rozżarzył synapsy nerwowych ścieżek w moim mózgu, zamigotał i zgasł.

Przebiegałam mały plac, dotarłam do bazyliki Najświętszej Marii Panny. Zagłębiłam się w uroczy zaułek i weszłam na ulicę Mariacką, najpiękniejszą ulicę w Europie. Tak przynajmniej twierdzili znawcy, a ja się z nimi zgadzałam. Wędrowałam nią, postukując obcasami o kamienny bruk. Donikąd się nie spieszyłam, więc z przyjemnością podziwiałam cudowne przedproża, obok których powoli rozstawiali swoje kramy bursztynowi sklepikarze. Miodowa biżuteria skrzyła się w słońcu, przyciągając mój wzrok. Przystanęłam przy szklanej witrynie. Różnorodność barw i kształtów wystawionych tam przedmiotów przyprawiała o oczopląs. Patrzyłam na słońce z podniesionymi i opuszczonymi trąbami, na ważki, konie, żabki, delfiny, pieski, kotki, hipopotamy i inne zwierzaki. Niektóre z nich miały nieco monstrualne kształty i niespotykaną w przyrodzie anatomię. Podziwiałam noże do papieru lśniące polerowaną stalą; napastrki, kolczyki, kostki do gry i różnokształtne medaliony: owalne, okrągłe, w kształcie lezki, kwadratowe, prostokątne. Więziły w postarzanym srebrze bryłki bursztynu o różnorodnych barwach, poczynszy od mlecznobiałej, poprzez żółć i brąz, aż po krwistą czerwień i czerń; jedne przezroczyste, inne matowe, jeszcze inne o fakturze przypominającej nieobrobione, pospolite kamienie polne. W niektórych medalionach artysta uwypuklił tylko naturalne piękno bursztynu, w innych przyozdobił je misternymi rzeźbami kwiatów, zwierząt, kamei, w jeszcze innych stworzył różnokolorowe jantarowe kolaże.

Spojrzałam na kolię zrobioną z kulek bursztynu szlifowanych na wzór brylantów. Obok leżał pierścionek i kolczyki do kompletu. Przez chwilę walczyłam z pokusą, by wejść i je kupić. Miałam co świętować, a w moim portfelu spoczywała nowiutka platynowa

karta kredytowa. Powściągnęłam jednak swoje chęci, sycąc jeszcze przez chwilę wzrok pięknem biżuterii.

Ruszyłam dalej, z obawą przechodząc obok żeliwnej armaty, spoglądającej w moim kierunku pustym i czarnym oczodołem; każde działo, nawet to nienabite, raz do roku samo z siebie strzela. Miałam nadzieję, że dla tej armaty nie jest to właśnie ten wyznaczony dzień.

Idąc, zerkałam w paszcze kamiennych rzygaczy. Patrzyły na mnie smutne, bezrobotne – oczekiwały na deszcz, by móc z radosnym chlupotem wypluwać na drogę hektolitry zbieranej z dachów wody. Cieszyła mnie myśl, że dzisiaj prawdopodobnie nie będzie padać.

Minęłam kram z obrusami i serwetkami zdobionymi kaszubskim haftem. Żółte, czerwone i błękitne niciane kwiaty zachęcająco uśmiechały się do mnie, bym przystanąła i coś nabyła.

Na następnym przedprożu ekscentrycznie ubrana kobieta wystawiała manekiny wystrojone w bure dżersejowe suknie, nieco wystrzępione i miejscami dziurawe, zdobione szydełkowanymi liśćmi i kwiatami. Na bezgłowych szyjach manekinów porozwieszała fantazyjne kapelusze. Przystanąłam i przez moment podziwiałam te stroje, zastanawiając się, w czyj gust chciała utrafić tworząca je artystka. Wśród moich znajomych nie znałam nikogo, kto zdecydowałby się na zakupienie u niej czegokolwiek.

Po kilku chwilach jałowych rozmyślań powędrowałam dalej.

Przeszłam pod łukiem Bramy Mariackiej i stanęłam na Długim Pobrzeżu. Owionął mnie powiew ciepłego wiatru przesyconego specyficznym aromatem Motławy. Z przyjemnością wciągnęłam go w nozdrza. Lubiłam to. Lubiłam zresztą Gdańsk. Po wielu latach mieszkania w tym mieście, żyłam się z nim i pokochałam, chociaż to uczucie nie przyszło od razu i rodziło się w bólach. Długo byłam na Gdańsk obrażona. Nie chciałam w nim mieszkać. Marzyła mi się Warszawa z jej blichtrzem, zapachem pieniędzy i wielkim biznesem. Uważałam, że tylko w Warszawie można żyć, inne miasta to zaścianek i prowincja. I miałam rację, Gdańsk był zaściankowy, ale w tej swojej zaściankowatości pełen uroku i taki bardziej dla ludzi,

spokojniejszy do życia, a jednocześnie tętniący życiem. Musiałam dojrzeć do tej miłości. A może po prostu się zestarzałam?

Zachnęłam się. Co mi tu za myśli chodzą po głowie? Przecież jestem młoda, bardzo młoda. Gdzie mi do starości?

Rozejrzałam się. Kawiarniane ogródki były już otwarte. Postanowiłam uczcić cudowną nowinę i wstąpiłam do pierwszej z brzegu knajpki. W moim stanie nie mogłam pić szampana, więc zamówiłam espresso z dużą ilością śmietanki.

Pogłaskałam się po brzuchu. Jeszcze nic nie dało się wyczuć – był płaski, z twardymi mięśniami, o które dbałam regularnie na cotygodniowych zajęciach fitness. Ale gdzieś w środku mnie rosło nowe życie, malutkie i delikatne, lecz już z zapisanym kolorem oczu, wielkością nosa i numerem buta.

A zaczęło się tak fatalnie. Przyznałam się mojemu ginekologowi, do którego od lat regularnie uczęszczałam na kontrolne badania, że od kilku miesięcy usiłuję zajść w ciążę i nie udaje mi się. Był to lekko szpakowaty, starszy mężczyzna, sprawiający wrażenie niezwykle kompetentnego. Kiedy go odwiedzałam, zawsze znalazł chwilę, by zamienić ze mną kilka słów na tematy ogólne, a nie tylko medyczne – rozmawialiśmy o polityce, pogodzie, rodzinie, nowej sztuce wystawianej w naszym teatrze, skandalu związanym ze znanym gdańszczaninem. Lekko łysiał na czubku głowy, nie zapuścił sobie jednak pożyczki – bez zbędnej próżności łyskał glansowaną skórą, a włosy rosnące po bokach czaszki zaczesywał za uszy. Ktoś powiedział, że wygląda trochę jak ksiądz. Była to prawda – przypominał duchownego nie tylko z wyglądu, ale też i ze sposobu bycia.

Tym razem spojrział na mnie drwiąco znad rogowych okularów, które zsunęły mu się na czubek nosa.

– Takie stare krowy powinny myśleć o trumnie, a nie o rodzeniu dzieci – prychnął ironicznie.

– Jest pan chamem i gburem! – wykrztusiłam zbulwersowana. Nigdy bym się po nim nie spodziewała takich słów. A tak mu ufałam! – Złożę na pana skargę! Znalazł się młodzieniaszek. Stary, obrzydliwy cap!

Trzęsąc się z oburzenia, wybiegłam z gabinetu.

– To konował, kompletny idiota! – wykrzyknęłam w poczekalni do siedzących tam kobiet. Podniosły na mnie zdumione spojrzenia. Tego gabinetu nie odwiedzał plebs, zawsze spotykałam tu kobiety eleganckie i na poziomie. Spoglądały teraz na mnie ze skupieniem, zastanawiając się prawdopodobnie, czy nie pomyliłam lekarzy – psychiatra urzędował bramę dalej.

Uciekłam, goniona ich potępiającym wzrokiem. Dojechałam do domu i tam dopiero się rozplakałam. Dobrze, że nie było Marka. Po co miałby patrzeć na moją słabość?

– Idiota, podlec, zwyrodnialec! – rzucałam inwektywy, szlochając i tłukąc pięścią oparcie fotela.

Minęło dużo czasu, zanim się uspokoiłam. Usiadłam skulona na dywanie, wtuliłam się w poduszkę i kołysząc się jak dziecko chore na autyzm, zaczęłam rozmyślać. Nie uznawałam spraw przegranych. Coś takiego dla mnie nie istniało. Osiągnęłam wszystko dzięki mojej determinacji i ciężkiej harówce. Niczego mi nie brakowało, miałam świetną pozycję w mojej bardzo dobrze płatnej pracy, cudowne mieszkanie, kochającego męża, krąg sprawdzonych przyjaciół. Teraz uznałam, że przyszedł czas na dziecko. Stworzyłam dla niego idealne warunki do rozwoju i wychowania.

Cóż z tego, że miałam czterdzieści lat? Starsze ode mnie kobiety bez problemu zachodziły w ciążę i rodziły, nie był to wiek matuzaleмовy. A nikt, kto mnie nie znał, nie dałby mi więcej niż trzydziestkę. Cóż, trochę to kosztowało i pieniędzy, i wysiłku, ale opłacało się. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że coś może się nie udać. Tego nie brałam pod uwagę, zburzyłoby cały mój plan misternie zaplanowanego życia.

Walnęłam pięścią w boga ducha winną poduszkę.

– Mam to w dupie! – wycedziłam przez ściśnięte zęby. – Pokażę temu bucowi, że znajdę w ciąży. Każda debilka to potrafi, cóż to dla kogoś takiego jak ja?!

Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. I nagle przypomniałam sobie! Doktor Aleksandra! Tyle lat ją znałam, chyba lubiłyśmy się, wypiliśmy razem wiele beczek piwa i ciężarówek wódki. A ona przecież była specjalistką od niepłodności! Nie korzystałam

z jej usług jako lekarza, bo to tak głupio chodzić do dobrej znajomej, ale teraz nie miałam wyboru. Tylko ona mogła mi pomóc.

Zerwałam się z podłogi. Przygnębienie minęło jak ręką odjął. Rzuciłam się do komórki i nerwowo zaczęłam przeglądać książkę telefoniczną.

– Mam, mam! – wykrzyknęłam, kiedy znalazłam numer do niej, i roześmiałam się. Wrócił mi dobry humor. Wiedziałam, co robić, i energicznie wzięłam się do pracy.

Wcisnęłam guziczek z zieloną słuchawką. Aparat zaczął się łączyć z wybraną przeze mnie pozycją. Zniecierpliwiona, wsłuchiwałam się najpierw w trzeszczące szумы, a później w długie sygnały dzwonka.

– Odbierz, nie rób mi tego – mruzczałam pod nosem. – Nie rób mi tego.

– Halo – odezwał się w słuchawce śpiewny głos. Aleksandra była nie tylko dobrym lekarzem, była też znaną piosenkarką, ale przedkładała leczenie ludzi nad śpiewanie.

– Olu, kochanie, tu Gosia. Masz czas, żeby pogadać?

– Dla ciebie zawsze. Robisz jakąś imprezę? – zainteresowała się.

– Nie – zająknęłam się. – Potrzebuję porady z twojej dziedziny.

– Co się stało? – w jej głosie zabrzmiała troska.

– Nie mogę zająć w ciążę – wykrztusiłam. Dlaczego odczuwałam taki ogromny wstyd, wypowiadając te słowa? Znowu zachciało mi się płakać. Poczulałam się jak człowiek drugiej kategorii.

– Och, dzięki Bogu, że to tylko to – odetchnęła z ulgą. – Myślałam, że stało się coś gorszego.

– To właśnie jest dla mnie coś strasznego – obruszyłam się.

– Ależ rozumiem cię. Tylko że z tym prawdopodobnie poradziemy sobie. Bałam się, że rozchorowałaś się na coś, z czym mogłybyśmy mieć dużo większy kłopot.

– Pomożesz mi? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Oczywiście – odparła radośnie. – Bułka z masłem. Nic się nie martw. Przyjdź do mnie jutro, około siedemnastej, do gabinetu. Pogadamy.

– Tak po prostu? – zdumiałam się. – Przecież do ciebie są ol-

brzymie kolejki. Dostać się do ciebie z dnia na dzień graniczy z cudem.

– Nie wygłupiaj się – roześmiała się. – Nie po to rzygałyśmy razem po pijaku do jednego kibla, żebyś musiała się przejmować jakimiś kolejkami do mnie.

Jej śmiech jeszcze długo dźwięczał w moich uszach jak niebiańskie dzwoneczki.

Poszłam do niej o tej siedemnastej, i zaczęło się.

Najpierw musiałam wspiąć się na wyżyny dyplomacji i przekonać Marka, żeby zbadał sobie nasienie. Ola na wstępie postawiła niepodważalny warunek – nie będzie mnie diagnozować, jeżeli Marek nie podda się badaniu.

– Zrozum – cierpliwie mi tłumaczyła – jest takie samo prawdopodobieństwo, że problem leży po twojej, jak i po jego stronie. A zbadanie mężczyzny jest proste i mało kłopotliwe. I potwierdza albo wyklucza go ze sprawy.

– Jak ja mam mu to powiedzieć? – czułam się zagubiona. – Przecież taka rozmowa podważy jego męskość? Jak mam to mu powiedzieć? – powtarzałam bezradnie.

– Daj spokój – Ola była niewzruszona. – Jesteście małżeństwem od kilkunastu lat i nie potrafisz z nim rozmawiać? A chcesz wspólnie z nim wychowywać dziecko? Wychowanie dziecka to sprawa dużo trudniejsza niż jakaś tam rozmowa.

– Porozmawiam – zgodziłam się potulnie. Miała rację. Chciałam na ziemię sprowadzić nowe życie, a bałam się jednej głupiej rozmowy.

Wieczorem wypiłam dla kurażu szklaneczkę whisky i, nieco się zacinając, zagaiłam:

– Coś nam nie wychodzi to płodzenie dziecka. Może byśmy porozmawiali na ten temat z jakimś fachowcem?

– Co masz na myśli? – Marek spojrział na mnie z ciekawionym. Jego oczy lśniły miłością i tkliwością, jak zwykle. – Chcesz zasięgnąć porady u tej rodziny zza Motławy, mającej dziesiątkę dzieci? Widziałem, że ta kobieta znowu jest w ciąży.

– Nie wygłupiaj się! – burknęłam. – Myślałam o jakimś lekarzu od niepłodności.

Spojrzał na mnie z wyższością, wstał i poszedł do przedpokoju. Po chwili wrócił z jakąś karteczką.

– Wyobraź sobie, że już wcześniej o tym pomyślałem. O, proszę – zamachał triumfalnie zadrukowanym świstkiem papieru. – Zrobiłem sobie badanie nasienia. Chyba jest wszystko w porządku – wręczył mi druczek. – Teraz twój ruch. Czas na ciebie, żeby się zbadać.

Patrzyłam w osłupieniu to na kartkę, z której nie potrafiłam nic mądrego wywnioskować, to na Marka. Miał taki zadowolony wyraz twarzy, jakby mi zrobił psikusa. W końcu wybąkałam:

– A ja się tak bardzo bałam porozmawiać z tobą na ten temat.

Przysiadł się do mnie i mocno przytulił, całując w policzek. Jak ja lubiłam jego zapach!

– Mój malutki głuptysek – powiedział czule. – Gdybyś nie była brunetką, pomyślałbym, że jesteś blondynką. Czego ty się bałaś?

Wtuliłam się w niego mocno. Pachniał dobrą wodą po goleniu i pierniczkami – swoimi feromonami i miłością. Jak dobrze mieć przy sobie kogoś tak kochającego, kto stał za mną murem przez tyle lat, znosząc moje histerie i załamania, szalone pomysły i ciągłą potrzebę gonienia za nie wiadomo czym; po prostu ze stoickim spokojem żył z osobą o nieco niezrównoważonym charakterze.

– Ja już też byłam u lekarza – przyznałam się cichutko. – Byłam u Aleksandry.

– Jak u Aleksandry, to jestem spokojny. To czarodziejka, z nią na pewno nam się uda! – Roześmiał się i z rozmachem pocałował mnie w usta. – Idę zrobić coś na kolację.

A w nocy kochaliśmy się z takim żarem jak za dawnych lat. Może dlatego, że myśl, iż ktoś inny przejął pałeczkę dowodzenia, ukoili nasze nerwy, wlała w nas nadzieję i pozwoliła z optymizmem patrzeć w przyszłość.

Następnego dnia zaniiosłam Oli wynik badania nasienia Marka. Studiowała go w skupieniu, kręcąc ze zdumienia głową.

– Jak u dwudziestolatka. Widać, że nie pracuje z laptopem na kolanach. To przegrzewa jądra i niszczy plemniki.

– Tak – potwierdziłam. – Woli stacjonarne komputery z dużym ekranem i wygodną klawiaturą.

– Tyle bezpłodnych par przeszło przez ten gabinet, a Marek jest pierwszym mężczyzną, który sam wpadł na to, że to z jego winy może być problem. Nie chciałam cię zniechęcać, ale dla większości mężczyzn propozycja zbadania nasienia jest szokiem. Czują się, jakbym z nich drwiła. Niejeden ciężko się na mnie obraził i z leczenia wyszły nici. W tej kwestii jestem nieugięta. Masz niezwykłego męża. Skąd tyś go wzięła?

– On po prostu zawsze był – odparłam i zdumiałam się. Rzeczywiście, był zawsze ze mną. I w tygodniowym żłobku, i w przedszkolu, i w szkole. Zawsze był. Mieszkaliśmy w tym samym bloku, drzwi w drzwi. Wyjście za niego za mąż było tak naturalnym procesem, że nikt nie wyobrażał sobie, iż może być inaczej. A zwłaszcza my.

Ponieważ nasieniu Marka nie można było niczego zarzucić, dla mnie zaczęła się gehenna. Co kilka dni błędym świtem odwiedzałam laboratorium i oddawałam litry krwi do niezliczonych próbek. Ręce miałam skłute jak narkoman. Dobrze, że zazwyczaj nosiłam bluzki z długimi rękawami, nikt więc tego nie widział.

Żeby sprawdzić, czy mam jajczkowanie, musiałam codziennie biegać do Oli na badania ultrasonograficzne,

Później zaliczyłam jednodniowy pobyt w szpitalu i bardzo bolesne prześwietlenie z podawaniem kontrastu, by sprawdzić drożność jajowodów. Pomimo że Ola prawie cały czas była przy mnie, tych kilka godzin spędzonych w szpitalu nappełniło mnie obrzydzeniem i ogromnym wstydem. Iluś obcym osobom musiałam opowiadać o swoich problemach. Co chwilę ktoś inny czegoś ode mnie chciał. Co chwilę ktoś inny próbował mnie badać ginekologicznie i tylko moje histeryczne protesty powstrzymywały te zakusy.

Spędziłam kilka godzin, siedząc na okropnym łóżku w olbrzymiej sali, gdzie towarzyszyło mi sześć obrzydliwie śmierdzących bab, nie wiadomo na co chorych. Czym ja się mogłam od nich zarazić?! Staralam się o tym nie myśleć. Dygotałam z przerażenia i zimna, otulając się polami cieniutkiego szpitalnego szlafroka, pod którym miałam szpitalną koszulę z idącym od szyi aż poniżej pępka rozporkiem, którego nie można było zapiąć, bo pozbawiony był guzików i troczków. A musiałam być ubrana w te wyblakłe szmaty, które na sobie wcześniej miały tysiące innych kobiet, bo na oddziale

mogłam nosić tylko szpitalne ubrania. Taki głupi przepis, którego nie można było ominąć.

Zacisnęłam zęby i postanowiłam przetrwać. To dla ciebie, dzi-
dziusiu, który jesteś jeszcze dwoma osobnymi komórkami we mnie
i w Marku, szeptałam w myślach. To dla ciebie, moje maleństwo,
którego jeszcze nie ma, ale które na pewno za jakiś czas pojawi się
na świecie.

Wyszłam ze szpitala, czując olbrzymie upokorzenie, ale też i du-
mę, że przetrwałam wśród tych brudnych, od lat niemalowanych
ścian, z których gdzieś gdzieś łuszczyła się farba, odpadał tynk,
a kafle w łazienkach były spękane i pożółkłe od starości, bo prze-
żyły dwie wojny światowe i czekały teraz trzeciej.

Jak można kulturalnych ludzi, przyzwyczajonych do cywilizo-
wanych luksusów i płacących olbrzymie składki na opiekę zdrowotną,
zmuszać do przebywania w tak skandalicznych warunkach?!

Ola, przeglądając moje wyniki, kajała się:

– Bardzo cię przepraszam za ten szpital i rozgardiasz. Niestety,
niektóre badania można zrobić tylko w szpitalu. W Gdańsku, nie-
stety, mamy do dyspozycji tylko państwowe szpitale. Trzy prywatne
są w budowie i jak tylko zaczną funkcjonować, moje pacjentki nie
będą musiały korzystać z państwowych placówek, ale jak na razie
nie mam innego wyjścia.

– Nic się nie stało – skłamałam. – Wszystko jest do przeżycia.

Uśmiechnęła się promiennie. Zawsze mnie zdumiewało, dlacze-
go taka piękna kobieta poświęciła się chorym ludziom. Jest tyle
ciekawszych dziedzin życia. A ona była tak charyzmatyczną piosen-
karką, że przeznaczywszy nieco więcej energii na karierę artystycz-
ną, zaćmiłaby wszystkie światowe jednosezonowe gwiazdki. Byłaby
gwiazdą, której blask lśniłby na firmamencie nieprzerwanie przez
dziesiątki lat. Ale ona wolała spędzać czas pośród pacjentek – cho-
rych, czasem niedomytych i cuchnących głupich bab.

– No tak – mruknęła, z zadumą studiując stosik gęsto zapełnio-
nych liczbami karteluszków. – Wychodzi twój sposób życia. Zbyt
intensywny jak na kobietę. Nie znałabym ciebie, ale patrząc na te
wyniki od razu odgadłabym, jakim typem człowieka jesteś. Bizne-
swoman – prychnęła z lekką pogardą – żyjącą zbyt szybko, pod

ciągłym napięciem. Zarabiającą majątek tylko po to, żeby go wydawać na kosmetyczki i zabiegi, które mają zatrzymać młodość jej ciała. A taki sam efekt uzyskalaby intensywniej odpoczywając, zdrowo się odżywiając, wysypiając się i więcej czasu spędzając na świeżym powietrzu.

– Nie mam zamiaru zmieniać swojego sposobu życia – bąknęłam urażona. Nienawidziłam, gdy ktoś tak moralizował. Zaczęłam mieć wątpliwość, czy dobrze zrobiłam, prosząc ją o pomoc. Wieloletnia znajomość zmniejszyła dystans lekarz – pacjent i prawdopodobnie wydawało jej się, że ma prawo do pouczania mnie. A to nie była prawda, nikomu takiego prawa nie dałam. Nikomu nie wolno było mnie pouczać! Ani drwić ze mnie.

Spojrzałam na nią, gniewnie marszcząc czoło. Patrzyła na mnie spod przymrużonych powiek z igrającym na ustach filuternym uśmiechem, co sprawiło mnie w zdumienie. W jej oczach spostrzegłam współczucie i morze sympatii.

– Już? Skończyłaś się wkurzać? – zapytała. – Że też wszystkie bizneswoman muszą reagować w ten sam sposób – sarknęła. – Nie mam zamiaru ingerować w twoje życie ani namawiać cię do zmieniania w nim czegokolwiek. Ja tylko tłumaczę, skąd prawdopodobnie biorą się twoje kłopoty. Chciałyśmy dorównać mężczyznom i udało nam się to świetnie – w jej głosie zabrzmiała ironia. – Zapadamy na męskie choroby z taką samą częstotliwością jak mężczyźni i w zamian za to pozbywamy się czysto kobiecej zdolności przedłużania gatunku. Jeszcze trochę, a mężczyźni będą zmuszeni rodzić dzieci, bo kobiety nie będą miały na to czasu. I w ogóle zapomną, jak się to robi.

– To chyba nie moje zmartwienie – wzruszyłam ramionami.

– Jasne – Ola wyprostowała się i przybrała profesjonalny wygląd. – Wydaje mi się, że masz dużą szansę na zajście w ciążę. Będziesz musiała zacząć brać dość sporą ilość leków, niestety kosztownych. Pacjentki poddane temu leczeniu często fatalnie się czują, co i ciebie może dotyczyć, ale zazwyczaj w ciągu kilku miesięcy dochodzi do zapłodnienia, więc nie przejmuj się gorszym samopoczuciem.

No i zaczęłam przepisaną przez Olę kurację. Łykałam niezliczo-

nią ilość pigułek i dostawałam olbrzymią ilość zastrzyków, wszystko według bardzo skomplikowanego schematu. Trzeba było jeszcze odbywać stosunki w wyznaczone przez Ołę dni, a raczej odbywać proces zapłodnienia, bo niewiele nasze działania miały wspólnego z seksem lub miłością.

– Jak już zajdziesz w tę ciążę – jęczał Marek – to przez rok nie spojrzę na nagą kobietę. Toż to orka na ugorze.

– Ja na faceta też nie spojrzę – odcinałam się zgryźliwie.

A samopoczucie. Samopoczucie było gorzej niż fatalne. W jednej chwili chciało mi się beczeć bez powodu, a po sekundzie bez sensu chichotałam jak pensjonarka. Bolała mnie głowa. Były dni, gdy tryskałam energią, i takie, podczas których przejście z pokoju do pokoju stanowiło dla mnie olbrzymi wysiłek. Chyba gorzej niż menopauza. Twarz mi się niezdrowo zaokrągliła. Całe ciało stało się ciastowate. Gumki skarpetek pozostawiały na moich nogach głębokie dołki. Ręce stały się niezborne.

Minął miesiąc, drugi. Miesiączka zjawiała się z obrzydliwą regularnością, jak przez całe moje dorosłe życie. Żeby chociaż spóźniła się o jeden dzień! Miałabym chwilę nadziei! A tu nic.

Aż w trzecim miesiącu nie pojawiła się...

Popędziłam do apteki, kupiłam test ciążowy i wykonałam go następnego ranka zgodnie z instrukcją. Jedna kreseczka... Po wiekach na znaczniku pojawiła się druga kreseczka, cieniutka, ale bardzo wyraźna. Patrzyłam na nią z niedowierzaniem. W końcu złapałam telefon.

– Olu, jestem w ciąży! – wrzasnęłam w słuchawkę. – Test ciążowy pozytywny! Udało się!

– Gosiu, uspokój się – zmroził mnie jej spokojny, wyzuty z jakichkolwiek emocji ton – nie ciesz się jeszcze. Testy ciążowe czasami kłamią. Musimy zrobić dokładniejsze badania. Nie chcę, żebyś za kilka dni rozpaczała, że to nieprawda. Przyjdź do mnie po południu.

– Dobrze – szepnęłam i całkowicie oklapłam.

W porządku, nie będę się cieszyć, pójdę do pracy, jakby nigdy nic. Czym mam się przejmować? Przecież nic się nie stało. To tylko głupia miesiączka się opóźnia.